

Nic nie muszę, wszystko mogę

O co-housingu senioralnym w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie opowiadają:

Margaret (70 lat), inicjatorka, mieszkanka

David (74 lat), mieszkaniec

Może i nie jesteśmy wielką szczęśliwą rodziną, ale coś nas łączy.

MOTYWACJA

David: Kiedy w 2010 roku w końcu poszedłem na tę emeryturę, spojrzałem przez okno na domy sąsiadów, których praktycznie nie znałem, popatrzyłem na śnieg. To nie była przyszłość, jaką dla siebie wyobraziłem. Wpisałem w wyszukiwarce: „co-housing British Columbia” i tak znalazłem Harbourside. Przyjechałem, ale nie zdecydowałem się od razu. Męczyłem się z tą decyzją – jestem wychowany na bardzo niezależną osobę i mimo wielkiej tęsknoty za wspólnotą, przerażało mnie zanurzenie się w niej. Ale kiedy rok później zostały tu tylko dwa domy na sprzedaż, złamałem się. Cieszę się, że tak się stało. Mam tu poczucie wolności, dużo większe niż się spodziewałem. Przez lata bałem się, jak będzie wyglądać moje odejście na emeryturę. Nie mam wielkiej rodziny, która by mnie wsparła w razie utraty sprawności. Jednocześnie wiedziałem, że nie byłbym w stanie zaakceptować opieki instytucjonalnej. Do dziś to mój największy lęk, że tam wyląduję. Z moich obserwacji wynika, że ludzie uczą się tam bezsilności. Są traktowani jak objekty. A ja chcę zarządzać swoim życiem.

Margaret: Mam 80-letniego przyjaciela, który żyje w domu spokojnej starości. On to uwielbia. Jest mu wygodnie, wszystko mu podają, wiecie lekki żywot. Ale nie ma kontroli nad swoim życiem. Jedyne wybory, jakie podejmuje, to czy zje miskę warzyw na obiad, czy nie. To deprecjonujące. Tu sama decyduję, z kim pójdę na spacer, kiedy i gdzie. Pierwszy raz usłyszałam o co-housingu w latach 80. Uczyłam antropologii na York University i prowadziłam kurs o domach dookoła świata. Po wielu latach prowadzenia kursu pomyśleliśmy z przyjaciółmi – architektem i osteopatą – może zrobimy to sami? Obserwowaliśmy naszych starzejących się krewnych, którzy postawili na opiekę instytucjonalną i uznaliśmy, że chcemy zbudować dla siebie alternatywę. Miałam wtedy 60 lat i strzeliłam z pomysłem w dziesiątkę, bo dziś sama odpowiadam za własne życie. Nic nie muszę, wszystko mogę. Dzięki co-housingowi człowiek jest mentalnie żywy.

David: Możesz u nas robić tak dużo albo tak mało, jak tylko chcesz. Praktyka pokazuje jednak, że choć nie jesteśmy młodzi, zazwyczaj wybieramy aktywny tryb życia. Mieszkamy nad wodą, przy

nabrzeżu. Jeden z naszych sąsiadów czy słońce, czy deszcz opiekuje się moło, naprawia bojki, dogląda tam wszystkiego. Ma 80 lat.

Margaret: To zaskakujące, jak świetnie utrzymany jest Harbourside. Ile pracy fizycznej dzieje się u nas od tak. Dzięki temu jesteśmy ciągle młodzi. Zresztą życie na wzniesieniu byłoby trudne dla kogoś, kto jest mniej aktywny.

WYZWANIA

David: Wzniesienie to trudny temat.

Margaret: Ono jest naprawdę duże. Znajduje się na nim 6 budynków. Jesteśmy kilka kroków od siebie, każdy budynek jest dostosowany, z szerokimi wejściami dla wózków, z dużymi łazienkami, z rampami, ale wzniesienie uniemożliwia swobodne przemieszczanie się. Mamy przez to przynajmniej dwie grupy sąsiedzkie.

David: Ludzie mieszkający na dole kolegują się ze sobą bardziej niż z tymi z góry. To skaza na naszej wspólnocie. Bo jeśli mieszkasz na dole i masz problemy z mobilnością, nie będziesz się tarabanił na górę. W rezultacie nie spotkasz tych z góry tak często, jak byś chciał.

Margaret: Przestrzeń i architektura mają wielkie znaczenie w kontekście budowania wspólnoty. Widać to doskonale na przykładzie sąsiadującej wspólnoty, oddalonej od nas o 3 godziny drogi. Ich co-housing składa się z budynku wspólnego oraz trzech zgrupowań domów. Każde ma swoją odmienną kulturę i dynamikę. Jedni codziennie piją wspólnie wino, inni nie widują się ze sobą wcale. Tworzą mikrowspólnoty.

ARCHITEKTURA

Margaret: Podążaliśmy ścieżką wyznaczoną przez Cohousing Development Consulting – oni stworzyli większość co-housingów w Kanadzie. Kiedy zaczynaliśmy, było ich siedem. Pracowaliśmy z wyspecjalizowanym architektem Peterem Treuheitem z Mobius Architecture. To ważne, żeby architekt wiedział, co robi, bo jego klienci nie mają doświadczenia. Marzyły się nam wolnostojące domy. Okazały się za drogie. A więc bliźniaki – zaproponowaliśmy. Znowu zbyt kosztownie. Szeregowce składające się z 4 domów? Tak samo. W końcu wyszło, że na naszych dwóch akrach stoją i bliźniaki, i szeregowce, i nawet mały blok. Wspólnie z architektem znaleźliśmy rozwiązanie dla każdego. Mieliśmy ulgi od miasta, ale niewielkie. Nasz rząd nie wspiera co-housingu. Pracujemy z Canada Mortgage and Housing Corporation, by zachęcić instytucje państwowe do finansowania wspólnot mieszkalnych, ale przed nami długa droga. Aby załapać się na subsydiowane rządowo

mieszkanie, musisz spełniać kryteria dochodowe. Problem w tym, że decydując się na subsydiowane lokum, nie masz nic do powiedzenia w sprawie jego wyglądu. Mieszkasz, jak ci zbudują. Jeśli tego nie chcesz, musisz mieć kasę. Kiedy zaczynaliśmy, każdy zainteresowany mógł na trzy miesiące zostać próbnie członkiem stowarzyszenia, które założyliśmy, zobaczyć projekt, zapoznać się z nami. Osoby zdecydowane na członkostwo w naszej budującej się wspólnocie musiały wpłacić 20 tysięcy dolarów (około 58 tys. zł).

David: Chyba dlatego wahałem się, czy aby na pewno zostać częścią Harbourside — wcześniej brałem udział w innym projekcie co-housingowym i utopiłem masę pieniędzy. Oni nie wiedzieli, co robią. Tutaj przyjechałem „na gotowe”. Zdecydowałem się, bo przerażała mnie wizja samotnej starości. Oczywiście nie wiedziałem, jacy będą moi sąsiedzi. Nie byłem w grupie inicjującej, nie znałem nikogo. W tym sensie zaryzykowałem.

POCZĄTKI

Margaret: My też nie znaliśmy się tak dobrze — było nas pięć praktycznie obcych sobie osób. Mieliśmy szczęście, że nam się udało. Badania mówią, że 9 na 10 wspólnot upada. Zatrzymują się na „potluck stage” – fazie spotkaniowej, kiedy wszyscy goszczą się w domach, dyskutują, spędzają razem cudownie czas. Ale nie chcą się do niczego zobowiązać finansowo. Jeśli miałabym komuś coś radzić, powiedziałabym tak: zbierzcie grupę osób, które są w stanie się zobowiązać finansowo i intelektualnie, zatrudnijcie specjalistów, którzy znają się na budowaniu co-housingu, nie róbcie nic na wycucie, zdajcie się na osoby, które mają doświadczenie. Główny powód niepowodzeń to właśnie brak profesjonalnej pomocy. I uczcie się z doświadczeń tych, którym się udało.

Na samym początku stworzyliśmy firmę deweloperską z jednym celem – wybudowania tego co-housingu. Dzięki temu udało nam się wyeliminować koszty dewelopera. Ukończony projekt składa się z mieszkań własnościowych. Dzięki temu można ustanowić hipotekę. Tym różnimy się od kooperatywy, która na to nie pozwala.

Proces budowania był partycypacyjny: na sześciu warsztatach ustalaliśmy między sobą, co jest dla nas ważne, czego chcemy, czego nie chcemy. Długie tygodnie dyskutowaliśmy o wszystkim, nawet o rodzajach wieszaczków na papier toaletowy.

KONFLIKTY

David: Życie tu to jak być w związku małżeńskim z 40 osobami – tak myślę w momentach frustracji, które często mi się zdarzają. Próbujemy osiągnąć porozumienie, ale to żmudny proces.

Margaret: Człowiek, który sprzedał nam ziemię, kupił dom w naszej wspólnocie. To cudowny facet, ale czasem ciężko mu odpuścić kontrolowanie. Jest przywiązany do tego miejsca. Jednak pracuje nad tym. Ma sporo okazji. Kiedy byliśmy na etapie budowy, spotykaliśmy się w co drugi weekend. Teraz zbieramy się raz w miesiącu, żeby podjąć wspólnie decyzje. To wyzwanie. Zdarzyło nam się skorzystać z pomocy mediatora. Kończyło się tak, że owszem – wszyscy byli zgodni – ale co do tego, że mediator był kiepski.

David: Konsensus wymaga treningu. W ogóle bycie we wspólnocie to ciągła praca.

Margaret: Cały nasz projekt opiera się na zaproszeniu. Działamy na zasadzie marchewki bez kija. Zachęcamy do wspólnych posiłków, chociaż uczestnictwo w nich nie jest obowiązkowe. Inaczej kto by tego pilnował? Kiedy zapytaliśmy, nikt się nie zgłosił.

WSPÓLNOTA

David: Liczyłem na większy etos wspólnotowy. Frustruje mnie, ilu mieszka u nas niezależnych ludzi.

Margaret: Jednak kiedy trzeba, nasza wspólnota działa. Miałam dwie operacje biodra, po każdej dostawałam posiłki pod drzwi i tyle miłości. Najważniejsze, że nie odwracamy się do siebie plecami. W normalnej społeczności, jeśli się z kimś kłócisz, możesz zdecydować, że już nigdy więcej tej osoby nie zobaczysz, a u nas trenujesz umiejętności interpersonalne. Już na etapie budowania wymagaliśmy, aby nasi członkowie uczestniczyli w szkoleniu o byciu i starzeniu się we wspólnocie. Dzięki temu mogli stwierdzić, czy to aby na pewno dla nich. To dalej istotne, bo nasze budynki i lokalizacja są tak wspaniałe, że mogą przyciągać osoby zainteresowane tylko walorami estetycznymi. A my tu mamy pracę do wykonania.

ZDROWIE

David: Mieliśmy mieszkańców z alzheimerem i zauważyłem – choć nie jest to naukowa obserwacja – że im dłużej czują się częścią wspólnoty, tym łatwiej przechodzą chorobę. Fakt, że decydują o swoim życiu, wydaje mi się kluczowy. Nie jest tak, że jakiś opiekun prowadzi ich bezwolnie na zajęcia plastyczne, na których malują akwarelki z kwiatami. Nie, oni sami decydują, żeby we wtorkowe popołudnia zabrać się za obraz.

Margaret: Mieliśmy członkinię, której zdolności poznawcze znacząco się poprawiły, odkąd do nas przyjechała. Być może to dlatego, że nasza wspólnota stwarza okazję do bycia aktywnym. Ostatnio każdego dnia o 19 spotykaliśmy się nad wodą i waliliśmy w garnki, by uhonorować pracę lekarzy,

pielęgniarek i sanitariuszy, którzy narażają swoje życie w pandemii. Osoby z problemami z pamięcią były z nami co noc. Same z siebie pamiętały.

COVID

Margaret: Opieka instytucjonalna zawiodła seniorów w pandemii. W domach starości było najwięcej przypadków zachorowań. Obecna sytuacja utwierdza mnie tylko w przekonaniu, że właściwie wybrałam swoją przyszłość. Póki co w naszej społeczności nikt nie zachorował, a my staliśmy się bardziej kreatywni, jeśli chodzi o wspólne spędzanie czasu. I spędzamy go razem więcej. Przed pandemią piliśmy razem kawkę raz w tygodniu, a teraz – codziennie. Oczywiście, z pewnych rzeczy, jak wspólny posiłek, musieliśmy zrezygnować, ale zastąpiliśmy je innymi. Regularnie gramy w boule. Niektórzy zaczęli morsować w zimnej wodzie. Zorganizowaliśmy cztery grupy, które sprawdzają, czy wszystko gra u bardziej narażonych członków wspólnoty. Staliśmy się kreatywni. Usunęliśmy 3 samochody z miejsc parkingowych, postawiliśmy tam stołki w odległości 2 metrów od siebie i w końcu korzystamy ze stołu do ping-ponga, który zawsze był, ale nikt go nie używał. To nasze „ping-pong plazza”, luksusowy plac wypoczynkowy z przymrużeniem oka.

David: Na wszystkich uchwytach do szafek w swoim domu powiesiłem czerwone nosy, jak u klauna. Mogę nimi otworzyć drzwiczki, a mogę też – w sytuacji większego napięcia – założyć je na twarz i z takim czerwonym nosem stawić czoła światu, kiedy przytłacza. To klucz do przetrwania we wspólnocie. Nie traktować siebie zbyt serio.

Aleksandra Zbroja